Rozmaitości

Dnia 8. Kwietnia **Nr 14.** 1837 Roku.

B Ó B.

Powieść z niemieckiego p. Czoke.

(Ciąg dalszy.)

»Moi panowie, macie wiedzieć, że już w pietnastym roku wieku mego byłem kadetem, a w dwudziestym podporucznikiem (tak zaczął stary podpułkownik); ale w dwudziestym piątym człowiek jest czymeś więcéj, niż podporucznikiem. Człowiek jest królem świata! *nota bene:* jeźli jest zakochanym. A ja właśnie w takim byłem przypadku. Nasz pułkownik miał córkę; najpiękniejszą, najdowcipniejszą w całém królestwie panienkę; ja zaś, prócz pary zdrowych oczu, miałem także extra zdrowe serce. Z tego wnieść można, co się działo. Młoda hrabianka de Oberndorf— ja przecież wolałem ją nazywać po cichu Zofiją, po jéj imieniu, ile że, *nota bene!* nie byłem hrabią — tak tedy Zofija miała lat szesnaście; ja zaś, jak powiedziałem, dwadzieścia pięć. Pojmiecie to panowie bez trudności, co ztąd za nieszczęście wyniknąć musiało. Że go ominąć nie było można, to każdemu jasno. Ale panu pułkownikowi, ktory tylko w rzeczach regimentowych miał wzrok jastrębi, ani przez głowę to nie przeszło; bo też *nota bene!* moja miłość także nie była interesem regimentu. Byłto człowiek zacny, wiele znaczyłem u niego, kochał mnie jak swego syna; znał on moich rodziców, którzy już w ówczas nie żyli, zastępował u mnie miejsce ojca, i ja byłbym chętnie wszystko dał w świecie, gdybym mógł był jego być synem, ale o tém nie wolno było ani pomyślić. On był pułkownikiem, a ja tylko podporucznik; on hrabia, ja tylko prosty szlachcic; on bogaty, jak Krezus, ja ubogi w całém tego słowa znaczeniu. Teraz wiécie panowie wszystko. Wielki był między nami przedział. Hrabianka Zofija ani przez pół tyle nie kładła wagi na tytuły, ubóstwo i rangę podporucznika, ile kładł stary wojownik, i prawdę mówiąc, ona była w wielu rzeczach roztropniejszą od niego.

Spostrzegłem ja to wprawdzie, że Zofija dla mnie zawsze była grzeczniejszą, niźli dla innych oficerów, że się ze mną najchętniéj bawiła, najchętniéj szła do tańca, że w lecie najchętniéj ze mną przechadzać się, a w zimie sankować lubiła; z tego atoli nie mogłem się jeszcze zapewnić, że mnie kochała; ale, że ja Zofiją kochałem, żem ją ubóstwiał, o tém aż nadto dobrze wiedziałem. Tysiąc może razy chciałem jéj wszystko wyznać, chciałem jéj do nóg upaść. Ale mój miły Boże! prędzéjbym był, z nieustraszoném sercem, z jednym tylko batalijonem przeciw najmocniejszéj bateryi do szturmu poszedł, niż w ówczas bliższy krok do mojéj szanownéj Zosi uczynił. Słowem, powiadam wam, iż nic mi się nie wiodło. Nie chcę was tu długo nudzić opowiadaniem moich miłostek i zmartwień, i dla tego do głównéj rzeczy przystępuję.

Jednego wieczora wypadło mi zdać raport panu pułkownikowi. Nie zastałem go w domu, co dla mnie nie było wielkiém nieszczęściem, bo hrabianka Zofija sama jedna przyjęła mię w pokoju, i pozwoliła mi czekać u siebie na ojca. Trzeba wiedzieć, że z nami była rzecz szczególniejsza. Byliśmy na przykład w liczném towarzystwie, tośmy się dosyć nagadać nie mogli; a gdy nam przyszło być sam na sam, jakto mówią, między czterma oczyma, tośmy słowa do siebie przemówić nie umieli. Ach, umieliśmy wprawdzie, i bardzo dobrze, tylko *nota bene!* nie śmieliśmy sobie tego pozwolić!

Nie wiém moi panowie, czyli wam w młodszych waszych latach podobne fatalności wydarzyły się kiedy. Przed młodą hrabianką leżała, pośród świéc gorejących, przewrócona tablica szachowa; nazywano to: grą w młynka. Na stoliku leżała równa ilość tak białych jak i ciemnych bobów, którémi się miejsca gry na tablicy naznaczały. Po niejakiéj chwili milczenia w krótkiéj rozmowie naszéj, któreto pauzy *nota bene!* nie były dla nas wcale nudnémi, zaprosiła mnie hrabianka do gry. Oddała mi na ten koniec wszystkie ciemne boby, a sobie zatrzymała białe, i te już dla samego koloru niewinności sprawiedliwie do niéj należały. W ciągu gry był jéj młynek każdéj prawie chwili napełniony; to nie mogło się obejść bez kłótni, a czemu ja rad byłem, ile że w kłótni można jéj było wiele rzeczy powiedzieć, do czego przy zimnéj krwie nie miałbym był śmiałości. Teraz dopiéro tak się nam działo, jak gdybyśmy się w najliczniejszém znajdowali towarzystwie, to jest: gadaliśmy na wyścigi i niby o zakład.

Hrabianka Zofija była z natury żartobliwą i dowcipną; śmiała się, żartowała ze mnie, i nie raz tak mnie swojémi ucinkami w kąt zapędziła, żem prawie rozpaczał, nie wiedząc co jéj odpowiedzieć. W uniesieniu, dla ukarania mojéj pięknéj szydzicielki, która tak nademną tryumfowała, rzuciłem na nią brunatnym bobem. Ten poleciał prostym łukiem i zagroził pięknemu noskowi mojéj przeciwniczki, lecz, gdy dla uniknienia bomby, głowę w tył cofnęła... ach, natenczas mój strzał padł pomiędzy przeguby cienkiéj chustki, którą miała na szyi, i wsunął się aż na pierś głęboko. Szczęściem, że to nie była prawdziwa strzała! A przecież przeląkłem się niewypowiedzianie i cały ogniem spłonąłem. Zofija zarumieniła się także i wstydliwe oczy swoje w dół spuściła. Tu się skończyły i żarty i gra i kłótnie. Ja nie byłem w stanie ani słowa wyrzec, a Zofija zaniemiała. Obawiałem się, azalim przez moję niegrzeczność nie ściągnął jéj gniewu na siebie; wejrzałem na nią z bojaźnią, ona podniosła oczy i dała mi poznać swoję urazę. Tego już znieść nie mogłem. Porwałem się z krzesła, ukląkłem przed moją boginią, wziąłem jéj rękę, i przyłożywszy do ust, błagałem przebaczenia. Nie odpowiedziała mi ani słowa, przecież ręki swéj od ust nie odrywała. »Hrabianko! droga Zofijo! nie gniewaj się na mnie! Umrę!« zawołałem, »jeźli nie zyskam twego przebaczenia. Jedynie dla ciebie i przez ciebie żyję! Bez ciebie mój byt jest niczém. Tyś moją duszą, tyś mojém niebem i mojém wszystkiém!« Słowo jedno pociągnęło za sobą drugie. Powiadałem jéj wiele rzeczy ze łzami w oczach; ona tego wszystkiego słuchała równie z zapłakanémi oczyma. Domagałem się odpowiedzi, a nie dałem jéj słowa przemówić. A, *nota bene!* o trzy kroki od nas stał pułkownik, chociaż ani ja, ani Zofija nie postrzegliśmy kiedy wszedł do nas. Mniemam, że się wsunął, jakby upior jaki! Niech z Bogiem odpoczywa. Już jest w raju.

Wielkim strachem przejął nas jego głos piorunowy, rzucający na nas nieszczęsnych cały poczet nowych i starych regimentowych przekléństw. Ja, powstawszy, zwróciłem się ku niemu. Zofija, nie tracąc bynajmniéj przytomności, toż samo uczyniła. Chcieliśmy się usprawiedliwić, ale nam nie dał czasu do mówienia. »Milczcie!« krzyknął przeraźliwie, jak gdyby, zamiast z dwojgiem grészników, miał z dwoma pułkami jazdy do czynienia. »Ty Zofijo, odjedziesz mi ztąd jutro... a wćpan, panie podporuczniku, będziesz prosił o uwolnienie od służby, i opuścisz prowincyję... albo, czeka cię śmierć!« To rzekłszy wyszedł z pokoju.

Muszę tu wyznać, że umiarkowanie tego człowieka przy jego popędliwości na podziwienie zasługuje. Ja przynajmniej mam to za wielką roztropność, że pułkownik nas samych zostawił, albowiem mieliśmy jeszcze wiele do powiedzenia sobie. Hrabianka Zofija stała śród pokoju z spuszczoną ku piersiom głową, i owisłémi w dół rękoma, jak gdyby posąg jaki.

»O Zofijo!« rzekłem, i poskoczywszy do niéj, objąłem ją memi ramiony i przycisnąłem do serca; »Zofijo! teraz cię na zawsze utracę!«

»Nie,« odpowiedziała niezachwianym głosem; »nie! nie na zawsze; jak długo tylko iskra życia we mnie będzie, tak długo pamięć o tobie w mém sercu pozostanie!«

A to wymówiła takim tonem i takim głosem, że cały na wskroś przejęty zostałem. »Jestemże tobie cokolwiek miły, droga Zofijo?« zapytałem cichym głosem, i przełożyłem moje

ogniem pałające usta do jéj lubéj, jak róża pięknéj twarzy. Nic mi wprawdzie nie odrzekła na to, ale mi oddała nawzajem słodkie pocałowanie. Natenczas nie czułem już pod nogami ziemi, dusza moja uszła z ciała; wzleciałem pod nieba; czułem rozkosze Serafinów!... Zofija płakała; jéj łzy i westchnienia powróciły mi przytomność.

»Zofijo!« zawołałem z boleścią, i padłszy jéj do nóg, uścisnąłem jéj kolana: »O Zofijo! poprzysięgam ci, że do ciebie jedynie należę, jak długo tylko tchu w mojém ciele, i dokądkolwiek los mnie zaprowadzi!«

Tu nastało milczenie, dusze nasze przysięgały sobie wzajemną wierność. W téj saméj chwili upadło coś na ziemię; byłto ów bób nieszczęsny, który wszystkich naszych dolegliwości stał się przyczyną. Podniosłem go, a powstawszy i wskazując go Zofii, te do niéj wyrzekłem słowa: »Oto jest dzieło przeznaczenia! Zachowam je na pamiątkę dzisiejszego wieczora!«

Hrabianka wzięła mię z uniesieniem w swoje objęcie; jéj oczy wydały blask uroczy. »Tak!« rzekła, »to jest dziełem przeznaczenia!« Wymówiła to cicho, pocałowała mię, i odwróciwszy się ode mnie, odeszła do przyległego pokoju.

Zofija nazajutrz rano, albo raczéj jeszcze téjże saméj nocy, wywieziona została. Pułkownik był dla mnie przy każdym przeglądzie z pełną pogardy oziębłością. Podałem o moje uwolnienie, a otrzymawszy je, puściłem się w świat. Dokąd? to było mi obojętne. Przyjaciele dali mi zalecające listy do Petersburga, i opatrzyli mnie na podróż pieniędzmi.

»Są to zaiste skutki przeznaczenia!« pomyślałem sobie i, jechałem na północ. Zofija była dla mnie na zawsze stracona; nie miałem nic od niéj w pamiątkę, prócz bolesnego spomnienia, i — ów bób nieszczęsny. W Królewcu kazałem go w złoto oprawić i od *czterdziestu dwóch lat* noszę go wiernie na moich piersiach.

Otrzymane zalecenia zyskały dla mnie wkrótce stopień porucznika. Życie moje było dla mnie dosyć obojętne, dla tego zasłużyłem na nazwisko mężnego. Potykałem się w Azyi i w Europie, otrzymałem zdobycze, sławę, ordery i czego tylko żołniérz pożądać może; a po dwudziestu przeszło latach zostałem podpułkownikiem. W tym przeciągu czasu podstarzałem się; przygody mojéj młodości poszły prawie wszystkie w zapomnienie. Ale *nota bene!* mój bób, był dla mnie zawsze równie miły. A gdy po potyczce pod Kinburn, w Limańskiéj prowincyi, r. 1788 przez janczarów pojmany zostałem; byłto dzień bardzo gorący; książę Nassau, to mito był wódz! janczary obrali mię ze wszystkiego, a przecież ów święty bób nie był od nich spostrzeżonym; był on oblany krwią, z mych piersi obficie płynącą. Wtenczas myślałem, że już zakończę życie moje. Byłem przez dwa dni od niewiernych z miejsca na miejsce włóczony; zawsze jednak ścigała ich nasza jazda. Nareszcie porzucili mię w polu na wpół umarłego; gdzie mnie przecież nasi znaleźli i ulitowali się nade mną. Gdy mnie do lazaretu przywieziono, musiałem dla zupełnego wyleczenia się powrócić z piérwszym transportem do Moskwy.

Spoczynek i wygoda przypadły mi do smaku, miałem z czego żyć, a przeto życie stało się dla mnie pożądaném. Po dwudziesto-cztéroletniéj służbie i siedmiu chwalebnych ranach, mógłem się spodziéwać uwolnienia z honorem. Jakoteż w istocie otrzymałem je, wraz z pensyją; co mnie mocno ucieszyło.

Lecz *nota bene!* nie długo. Moskwa jest przyjemne miasto, ale dla tych, którzy nie są kupcami, nudne i do sprzykrzenia. Petersburg jest piękne miasto, ale cała jego ozdoba nie miała dla mnie tyle przyjemności, abym mógł zapomnieć miasteczka, gdzie w garnizonie przed 24 laty z moim pułkownikiem de Oberndorf i, *nota bene!* z moją Zofiją się znajdowałem.

Nic nie miałem do stracenia, i pomyślałem sobie: Nie chciałżebyś jeszcze raz widzieć tego miasteczka? i, jeżlito być może, także ulubioną twojéj młodości, która zapewne teraz albo już jest babką, albo już nie żyje. Miły Boże! jakże się tam wszystko zmienić musiało.

Tymczasem nadeszły i paszporty. Wyjechałem. We wszystkich miastach zwiedzałem, co mógłem, ileże mnie nic nie nagliło. Nareszcie stanąłem w naszém garnizonowém miasteczku... Mój Boże! skorom tylko ową czarną, spiczastą wieżę, z pozłacaną gałką, po nad szczyty drzew ogrodowych wznoszącą się ujrzał; ach! jakże mi serce bić zaczęło.

Ale *nota bene!* nie dla kościelnéj wieży, tylko że natenczas o mojéj Zofii myślałem, że może blizko tegoż kościoła, jéj grób się znajduje... Już mnie tu w mieście nikt nie znał; ćwierć wieku, nie mały skok czasu! Pułk, w którym podówczas zostawałem, już tu nie był załogą; na jego miejscu stali dragoni. Pułkownik de Oberndorf przed wielą laty umarł; a jego córka miała być w swych dobrach w Morawii, nie daleko Berna, tak mi powiadano; czy jeszcze żyła, nikt mi nie umiał powiedzieć. »No, jakże? nie zechceszże i tam się udać!« zapytałem sam siebie; »a choćby ta szlachetna dusza już nie żyła, wtedy odwiedzisz jéj grób, weźmiész z niego grudkę ziemi, dasz ją oprawić w złoto, i będziesz nosił miasto b o b u na piersiach swoich.«

W Bernie dowiedziałem się z radośnym przestrachem, że jeszcze żyje, że mieszka o pięć mil drogi od tego miasta, w pięknéj swéj włości, i nazywa się zawsze h r a b i a n k ą d e O b e r n d o r f.

Czém prędzéj udałem się tamże! Pokazano mi piękny dom wiejski, ozdobiony gustownym ogrodem. »Tam mieszka!« rzekłem do siebie i zadrżałem, jak w ówczas, gdym jeszcze był podporucznikiem; a przecież nie drżałem przed Turkami... Wysiadłem z pojazdu. Już widziałem w myśli tego anioła, jak on z urokiem niebiańskiego wdzięku i pomieszany, poznawać mnie będzie. Ach, kobiéce serca! czy też mię ona jeszcze kocha? westchnąłem i szedłem przez ogród krokiem niepewności. W cieniu jednéj, czerwono kwitnącéj akacyi, przed wchodem do domu, siedziały dwie już podeszłe damy, i dwie młodsze panienki, czytaniem zajęte. Ale Zofii nie widziałem. Przeprosiłem je za niegrzeczność, żem śmiał sprawić im przeszkodę; mocno się bowiem moją przytomnością zmieszały.

»Kogoż pan szukasz?« zapytała mnie jedna ze starszych dam. — »Czy mogę mieć ten honor złożyć moje uszanowanie hrabiance de Oberndorf?« rzekłem. — »J a nią jestem,« odpowiedziała *cztérdziesto-letnia*; co mię tak zmieszało, iż rozumiałem, żem dostał zawrotu głowy. »Proszę mi pozwolić, abym usiadł; jest mi słabo; coś nie dobrze się mi zrobiło.« To rzekłszy, nie czekając odpowiedzi, usiadłem.

Miły Boże! co za odmiana!... rzekłem myślą. Dokądże uleciała owa piękność kwitnąca!... W tém odzyskałem przytomność i przypomniałem sobie upłyniony przeciąg całego ćwierć wieku. Tak, tak; byłato w istocie Zofija; ale Z o f i j a o d k w i t ł a!

»Z kimże mam honor mówić?« zapytała mnie. Ach, więc już mnie nie poznała!... Chciałem ukryć scenę poznania przed drugiemi damami, i prosiłem o jednę tylko chwilę między cztérma oczyma.

Hrabianka wprowadziła mię do domu, a potém do obszérnego po lewéj stronie pokoju. To, co mi najpiérwéj w oczy wpadło, byłto duży olejno malowany portret jéj ojca. Nie mogłem zdobyć się na słowo; moje serce było ściśnięte. Patrzyłem wciąż na obraz pułkownika, aż mi łzami oczy zaszły. »Tak starcze,« rzekłem słabym głosem; »spojrzyj jeno na swą Zofiję; ach! tyś nam bardzo wiele złego wyrządził.«

Hrabianka stała przy mnie pomieszana i zdawała się moją deklamacyją być przelękniona. Ja byłem rad uwolnić ją z tego dręczącego położenia, lecz nie mogłem żadnego więcéj przemówić słowa, tak bardzo mnie żal opanował. »Wćpanu nie dobrze jest,« rzekła do mnie hrabianka, i pomieszana poglądała ku drzwiom. — »Ach! i bardzo nie dobrze!« odpowiedziałem z westchnieniem.

»Nie znaszże mnie już hrabianko?« Ona, wpatrując się mocno w moje oczy, wstrząsnęła lekko głową. Tu dobyłem z zanadrza mój jedwabny sznurek z b o b e m, ukląkłem przed nią i rzekłem: »Ach, Zofijo! znaszże ten bób, który nas przed dwudziesto-pięcio laty tak srogo rozłączył? jam go wiernie zachował... Zofijo! wyrzekłaś podówczas, że jest na świecie przeznaczenie! a ja widzę, że jest w istocie.«

»O mój Boże!« wykrzyknęła słabym głosem, i odszedłszy ode mnie, rzuciła się na sofę, usiłując zakryć swoję twarz wybladłą; ale nie miała już tyle siły. Poznała mię. Widziałem, że mię jeszcze kochała!... Przyzwałem w pomoc drugie damy, a te wszedłszy przestraszone, ujrzały swą przyjaciółkę wybladłą, a u jéj nóg nieznajomego oficéra na klęczkach. Nim jeszcze wodę i pachnące wódki przyniesiono, hrabianka przyszła do siebie. Przecierała sobie oczy, jakby ze snu ocucona. Potém zalała się łez strumieniem, jakby już bez pocieszenia była! Ujęła mię w ramiona, i powtarzała nieustannie imię moje...

Dosyć wam na tém, moi panowie. Byłato chwila, w którejby sami aniołowie zapłakać musieli. Odtąd nie myślałem już o pożegnaniu. Hrabianka zatrzymała mię u siebie, jako gościa. O! ileżto nie mieliśmy sobie do powiedzenia! ale jakżebotéż ona stale mnie kochała!

A czemu podówczas przeszkadzał stary pułkownik, już teraz ani on, ani jego familija przeszkodzić nie zdołali. Zofija została moją małżonką, cokolwiek wprawdzie nie w porę, ale nie zupełnie za późno. Dusze nasze kochały się jeszcze ogniem młodocianym.

Moje przygody, albo raczéj przypadki tego tu bobu, na tém się kończą; ale *nota bene!* nie ze wszystkiém. Mam tu jeszcze to dodać, że dziecię, które moja żona mi powiła, przyniosło z sobą na świat znamię na piersi zupełnie do bobu podobne. Jestto szczególniejsze igrzysko natury; ale moja dziewczynka przezto samo tém milszą jest dla mnie.«

(Dokończenie nastąpi.)

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

X.

REKRUCI.

Każdego roku, po żniwach i winobraniach, kilkaset młodych rzemieślników i wyrobników, porzuciwszy codzienny ubior, bluzę i kaszkiet, warsztat i rzemiosło, w sukniach świątecznych, to jest: w kurtkach, na kształt fraka skrojonych, w kapeluszach wstążkami różnobarwnémi i spadającémi na ramiona opasanych, snuje się przez kilka dni po ulicach, spiewając, hałasując, od winiarni do winiarni wstępując, po kilku razem w jednym fiakrze, a często nawet na pudle powozu, używając powolnéj i jak gdyby tryumfalnéj przejazdki. Uprzytomnialiby karnawał, gdyby byli maskowani, gdyby wesołość ich była naturalniejsza, gdyby odurzenie ich podzielała druga płeć i reszta ludności. Ale sami jedni, pośród zatrudnionego Paryża roztargnieni, podochoceni, bawiący się hucznie, kiedy inni spokojnie pracują i obojętnie, albo z żalem na nich spoglądają, stanowią tylko niezwyczajne widowisko dla przechodzących, a szczególniéj dla cudzoziemców, którzy nie wiedząc, co znaczą ich ustrojone kapelusze, ich wesołość, połączona ze smutkiem na twarzach, ich zabawa krzykliwa, zatrzymują się, pytając, kto są? czego się cieszą? dla czego próżnują i bezustannie hulają? — Sąto rekruci.

Paryż dostarcza ich wojsku francuzkiemu co rok przeszło tysiąc. Nie werbują ich, jak w Anglii, nie dostawiają ich do pułków sposobem, przyjętym w innych krajach, ale wyciągają ich losem, jak liczby loteryjne. Władza zwierzchnia uwiadamia władze podrzędne, ile ich na każdą gminę przypada, a gminy, mając spis ludności zdatnéj do noszenia broni, w dniu oznaczonym, losem wyciągają żądaną ich liczbę. Oprócz cudzoziemców i urzędników, nikt od tego losowania nie jest wyjęty, chyba jeźli z powodu wieku do spisu wojskowego należéć przestał. Bogatsi, lub znaczenie w kraju mający, przeznaczając synów swoich do wojska, umieszczają ich w szkołach wojskowych i tym sposobem uwalniają ich od losowania. Pomimo tego paść może los na młodzieńca, oddającego się naukom, na bogatego młodzieńca, żyjącego tylko pośród zabaw, na spokojnego kupca, dalekiego od szczęku oręża, na artystę, literata, kapitalistę. Prawo nie uwalnia żadnego z nich od losowania, ale pozwala każdemu, którego los przeznacza do służby wojskowéj, uwolnić się od niéj przez *zastępcę*, takiego wszakże, który się znajduje na liście spisowych. Najmuje się go na czas, prawem przepisany, ale jeźli się zdarzy, że w ciągu służby, na niego samego los pada, natenczas zastąpiony musi się postarać o innego zastępcę, albo sam wstąpić do pułku. Cena zastępcy nie jest jednakowa i zależy od okoliczności, targuje się jak towar i bogaty daje za niego więcéj, niż taki, który może cały swój majątek oddaje, ażeby nie został żołniérzem. Jeźli handel dobrze idzie i fabryki są zatrudnione, wtenczas naturalnie zastępstwo jest droższe, niż kiedy ubogi nie ma roboty. W ogólności kosztuje zastępca od kilkaset do kilkutysięcy franków. Niekiedy młody człowiek najmuje się do wojska, ażeby dopomódz rodzinie, albo wesprzéć starość rodziców; najczęściéj jednak jestto rzemiosło synów marnotrawnych i ludzi nie mających stałego zatrudnienia.

Można tu jednak przeżyć młode lata wolnym od służby wojskowéj, nie tylko kiedy losowanie sprzyja, przez najęcie zastępcy, lub przez posiadanie stanu wyjątkowego, lecz

także przez zapisanie się do towarzystwa, które zabezpiecza od niepomyślnego wypadku losowania. Paryż liczy kilka podobnych towarzystw, którym spisowi składają corocznie małą opłatę, za którą towarzystwo bierze na siebie obowiązek najęcia zastępcy w razie wylosowania nazwiska stowarzyszonego. Wypadek losowania mało obchodzi takiego, który może nająć zastępcę, lub się zabezpieczyć w towarzystwie, ale stanowczy jest dla młodych ludzi, którzy nie mają pieniędzy. Dla nich wylosowanie do wojska nie jest obojętne; odrywa ich od rzemiosła i od zarobku, do których się przysposobiali, w których nabyli zręczności, wprawy, do których nawykli; rozłącza ich z osobami, pośród których zrośli, z którémi żyli, dla których mają szacunek, przyjaźń i miłość; zamienia swobodne ich stosunki w obowiązki surowe i nakazujące; zapowiada im zawód nowy i dla tego samego trudny, a ludziom słabego ducha pokazuje w dali powiększoną i zastraszającą postać wszystkich trudów i niebezpieczeństw stanu wojskowego. Jestto w ich życiu ważna zmiana i dla tego obchodzą ją uroczyście.

Wylosowany rekrut otrzymuje tylko uwiadomienie, że w czasie oznaczonym powinien się stawić przed władzą wojskową; z resztą zostawiają mu przez kilka dni największą wolność, jakiéj kiedykolwiek młody człowiek może używać. Przeciąg czasu między wylosowaniem a stawieniem się do pułku, jest dla niego życiem prawdziwie uprzywilejowaném. Porzuca natychmiast robotę; gospodarz wypłaca mu zwykle więcéj, niż mu się należało; krewni i znajomi przynoszą mu podarunki; odbiéra, co złożył w kasie oszczędności, sprzedaje suknie świąteczne, które po raz ostatni wdziewa, a które za dni kilka na nic mu się nie przydadzą; dziéwczęta ubiérają mu kapelusz wstążkami. Tak ustrojony, pokazuje się na ulicy z dobrą i niby wesołą miną, jak gdyby przed publicznością, z odwagą i gotowością służenia w wojsku, chciał się popisywać. Wkrótce swój swego znajduje i wnet tworzą się grupy młodych i wystrojonych rekrutów, pragnących spiéwem i poruszeniem zwracać na siebie powszechną uwagę. Wino, przejazdki, rozpusta, składają ostatnią rozrywkę rekruta jeszcze po cywilnemu ubranego, a odurzenie jego dopiéro wtenczas się kończy, kiedy już ostatni grosz jest wydany. Jego przełożony, jego znajomi i znajome, same prawa są dla niego przez te kilka dni względniejsze, wszystko mu sprzyja. Zdrożności, za które musiałby w innym czasie policyjnie odpowiadać, uchodzą mu wtenczas płazem, i ani ludzie ani prawo nie biorą mu za złe kilkodniowych nieprzerwanych zbytków, rubasznéj swawoli, wszelkiego rodzaju zmysłowéj i głośnéj hulanki. Nie jego w tém wina, że ludzie i prawo nie wskazują mu w stanowczéj życia chwili godniejszego rozerwania umysłu, szlachetniejszego używania. Wszyscy ubiegają się wynagrodzić mu w sposobie odpowiednim jego oświacie i jego skłonnościom, a podług swoich własnych wyobrażeń przejście z dni swobodnych do stanu wojskowego.

I rzeczywiście ta łagodność prawa tak jest skuteczna, iż się nie zdarza, w Paryżu przynajmniéj, ażeby rekrut ucieczką chciał się uwolnić od wojska. Każdy z nich wolałby nie być żołniérzem, bo gdyby nim być chciał, nie czekałby losowania, ale wstąpiłby do wojska jako ochotnik, albo jako zastępca; ale każdemu z nich pochlebia, że prawo mu ufa i tak wesoło, jak chce i może, po wylosowaniu bawić mu się pozwala, a ztąd budzi się w nim pewne uczucie honorowe, które wkłada na niego obowiązek pokazania, że ufności prawa nie zawodzi. Wybrany losem do nikogo nie ma żalu, i zamiast opiérać się losowi, albo być za ucieczkę przez sąd na haniebne więzienie skazanym, woli w dniu oznaczonym stawić się w pułku i przywdziać mundur wojskowy, który imię i ród jego może uświetnić. Z drugiéj strony wié, że opinija nakazuje mu poddać się losowi bez szemrania, co większa, iż mu nakazuje szanować prawo, a nawet ukryć żal, stłumić tęsknotę, rozproszyć smutek i bojaźń, jakie bardzo naturalnie ogarnąć mogą z razu serce młodego rekruta. Nikt mu nie bierze za złe, że los przeznacza go do wojska, ale własny ojciec wyrzucałby mu, gdyby się chciał nieprawnie uwolnić od służby wojskowéj, i gdyby zamiast służenia w wojsku, stawał się włóczęgą, którego prawo ściga i karze. Nie zastrasza go życie materyjalne w wojsku, bo żołniérz francuzki jest dobrze żywiony, wygodnie ubrany, a jedyne kary, których, jeżli tylko chce, uniknąć może, są areszt i kula; przykre mu jest wszakże rozstanie się ze swemi, a nade wszystko przyzwyczajony do życia swobodnego, obawia się karności i podległości, które w wojsku francuzkiém jak najściśléj są przestrzegane. Ztąd sprzeczność między jego uczuciem a obowiązkiem. Lecz im bardziéj te uczucia na niego działają, tém gorliwiéj stara się je pokryć, tém głośniéj bawi się po wylosowaniu, i to nie tylko przez patryjotyzm, ala i z obawy, aby się z niego nie śmiano, aby mu kochanka nie odebrała wstążki, którą kapelusz jego przyozdobiła. Wesołość jego jest może najczęściéj zmyślona, albo winem obudzona, ale zawsze dowodzi, jak silnie prawa wpływać mogą na umysły ludzi.

GALERYJE OBRAZÓW
NA WOŁYNIU I POLESIU.

W piśmie wileńskiém: *Wizerunki i roztrząsania naukowe* (poczet nowy, tom. III. str. 151 — 159), czytamy wiadomość o galeryjach obrazów na Wołyniu

i Polésiu. Z tych najcelniejsza i w mnóstwo arcydzieł sztuki malarskiéj obfita, jest galeryja obrazów hrabiego Mniszcha w Wiszniowcu. Miasteczko to, w ładném na Wołyniu położeniu, z prześlicznym pałacem, wsławionym bytnością królów polskich, Augustą II. i Stanisława Poniatowskiego, oraz cesarza Pawła, gdy był jeszcze wielkim księciem rossyjskim, w tymże pałacu mieści galeryję obrazów, gdzie znawca znajdzie malowidła: Pawła Veronese, Van Dyka, Luca Jordano, Kanalettych, Botarego, Albana, Romanellego, Piotra z Kortony, Van der Werfa, Rembrandta, Van Huysoma, Wouvermana, Lampiego, Norblena, Holbeina, Angeliki Kaufmann, pani Lebrun i t. p. Z obrazów, należących do sztuki malarskiéj w Polszcze, mieści ta galeryja przez Bacierellego wizerunki: króla Stanisława Augusta; księcia Michała Poniatowskiego, prymasa; Urszuli z Zamojskich Mniszchowéj, mar. wiel. kor.; Mich. Mniszcha, mar. wiel. kor.; Jana Mniszcha, podkom. wiel. lit. i t. d. Obrazów Tokarskiego znajduje się dwa: Wesele w Kanie Galilejskiéj, kopija z Pawła Veronese; scena z Eneidy Wirgiliusza. Z obrazów historycznych zwraca uwagę: Królowa Bona, przez Holbeina; król Michał, portret w guście Rembrandta, i August III. przez Botarego. — Oprócz galeryi w Wiszniowcu, godne są widzenia zbiory malowideł na Wołyniu i Polésiu: 1) w Romanowie u senatora Ilińskiego; 2) w Horochowie u senatora Tarnowskiego, gdzie się znajduje *Perseusz* Kanowy; 3) w Rafałówce u Olizarów; 4) w Horodcu u Urbanowskiego; 5) w Rachnach u Starzyńskich i t. d.

Z Przemyśla. Dwa ostatnie zeszyty tutejszego pisma teologicznego za r. 1836: *Przyjaciel chrześcijańskiéj prawdy*, wydawanego w dyjecezyi przemyskiéj, pracy i pióra wezwanych do tego przez ordynaryjat kapłanów (zeszyt III. str. 117, IV. str. 120), zawiérają następujące artykuły: Zeszyt III: 1) Rozprawy o Opatrzności (ciąg dalszy). 2) O zakazie związków małżeńskich między pokrewnymi lub powinowatymi. 3) O stosunkach wikaryjuszów z plebanami. 4) O żywocie, czynach i pismach Bossueta. 5) O starożytnościach kościoła katolickiego. 6) S. Jana Złotoustego o kapłaństwie. 7) Literatura. 8) Rozmaitości. 9) Wiadomość o początku biskupstwa, kapituły i kościoła katedralnego w Tarnowie. 10) List pasterski JW. JX. biskupa tarnowskiego, Franciszka Xaw. Zacharyjasiewicza. — Zeszyt IV: 1) Rozprawy o Opatrzności boskiéj (ciąg dalszy). 2) O zakazie związków małżeńskich i t. d. (dokończenie). 3) O stosunkach wikaryjuszów z plebanami (dokończenie). 4) O żywocie Bossueta (dokoń.). 5) O Sgo Chryzostoma dostojeństwie urzędu kapłańskiego. 6) Starożytności kościoła chrześcijańskiego. 7) Literatura. 8) Rozmaitości. 9) Dokończenie o biskupstwie i kościele kated. w Tarnowie, p. ks. Józ. Wilczka. 10) Dokończenie listu pasterskiego JW. JX. biskupa Zacharyjasiewicza. — Czasopismo to wychodzi także w roku bieżącym. *A.*

Z Wilna. *Wizerunki i rozstrząsania naukowe*; poczet nowy, tomik czwarty, r. 1836 (str. 126). Przedmioty w tym tomiku zawarte: 1) Rys historyczny wielkości i upadku domu szwabskiego r. 1050 — 1268 (z *Quatterly Review* i *Revue brittannique*). 2) Crabbe (rys życia i pism tego poety angielskiego). 3) Rozmaitości: *a)* Rozbiór dwóch najnowszych w Wilnie wydanych przekładów *Listu Horacego do Pizonów*, tłumaczenia Adama St. Krasińskiego i X. Ant. Moszyńskiego (1835); *b)* O dziełku satyryczném: *Chaos, szczypta kadzidła, cieniom wierszokletów, od Witalisa Komu-Jedzie* (Wilno, 1835). Wyjątki z tegoż pisemka, w którém autor, w duchu dawnych *szubrawców* wileńskich, wiele dowcipu, wiele prawdziwego rozwinął humoru. *c)* Wyjątek z listu, córki do ojca, pisanego z Sewastopola do Wilna dnia 8. kwietnia r. 1836.

Historyja Czech, przez Franciszka Palackiego (w niemieckim języku napisana, któréj przekład na język czeski, przez samego autora uskuteczniony, wkrótce także wyjść ma z druku), ułożona po największéj części podług dokumentów i rękopisem, a drukowana w Pradze u Kronbergera i Webera, sprawiła wielkie wrażenie w czeskim naukowym świecie. Tom piérwszy zawiéra dzieje początkowe i epokę panowania książąt w Czechach, aż do r. 1197. Autor otrzymał polecenie od Stanów Królestwa Czeskiego wypracować podług samych źródeł *Historyją Czech*, od najdawniejszego do najnowszego czasu, a to w dziele, mogącem cztéry do pięciu tomów obejmować. Wydany właśnie tom piérwszy, dojrzały owoc wieloletnich badań, wystawia nam dzieje Czech w całkiem nowém świetle, i okazuje znawcy, czego pod względem obfitości przedmiotu i wzorowego obrobienia, ma się po całém dziele spodziéwać.

Franciszek Sussil, mianowany nie dawno profesorem nauk biblijnych przy zakładzie teologicznym w Bernie, w Morawach, podał do druku bardzo szacowne dzieło sławiańskie: *Swaté otce* (Ojcowie święci). Koszta na druk dzieł sławiańskich zastępują w Bernie miłośnicy mowy ojczystéj. Oni także powzięli ten chwalebny zamiar, założenia w biskupim alumnacie biblijotéki za pomocą składek, i już ją po większéj części dziełami sławiańskiemi nbogacili. Plan ten dobroczynny jest tém pożądańszy, im więcéj czuć się daje brak biblijotek publicznych.

W Niemczech wychodzi obecnie sześćset pięćdziesiąt i pięć pism czasowych!

Najmniejszą książką, jaka kiedy była drukowana, jest angielski noworocznik: *The english Bijou-Almanack*. Ma długości 3/4 cala, a 1/2 szérokości, jest przepysznie oprawny, i mimo miniaturowéj postaci swojéj, zawiéra sześć pięknie rytowanych wizerunków sławnych mężów, mianowicie Szyllera, Goethego i Raphaela. Londyński »Dziennik dworu« wspomina o téj książeczce następującémi wyrazy: »Dziełko to jest w istocie tak małe, jak paznokieć wielkiego palca u ręki kobiecéj. Oprawne w złoto mogłoby służyć za szpinkę, jakoż jest w rzeczy samej klejnotem literackim.«

Pomiędzy gazetami francuzkiemi *Gazette de France* jest najstarsza. Wychodziła już za czasów trzydziestoletniej wojny, i dla tego w piérwszych jéj latach czytamy jeszcze raporta wojenne Wallensztajna.

W Stanach Zjedn. Ameryki półn. jest bez wątpienia przyjemną rzeczą redagować gazetę. W jednym z najnowszych numerów, wychodzącego w Bostonie pisma *Morning-Post*, redaktor onegoż użył téj wolności, iż doniósł swoim czytelnikom, że w następny piątek pismo jego nie wyjdzie, ponieważ otrzymawszy od jednego ze wspaniałomyślnych prenumeratorów smacznego indyka w podarunku, chciałby go w spokojności spożyć. Pisma angielskie żartują sobie z brata *Jonathana* (tak nazywają Amerykanów), który wolności, ale zarazem spokojności pragnie.

Matka śpiewaczki panny Nau, robiącéj teraz przy paryzkiéj operze wielkie wrażenie, była dawniéj tancerką na linie w Filadelfii, i bardzo ulubioną w tym zawodzie. Razu jednego wybuchnął ogień w teatrze i dwoje dzieci znajdowało się przezto w największém niebezpieczeństwie. Pani Nau w tym samym, jak tańczyła kostiumie, ratuje te zupełnie obce jéj dzieci, lecz przytém tak się w ogniu poparzyła, że odtąd nie była już w stanie wykonywać daléj swéj sztuki. Najsmutniejszego byłaby doznała losu, gdyby miasto Filadelfija, w nagrodę bohaterskiego jéj poświęcenia się, nie było jéj przeznaczyło pensyi do-

żywotniéj, którą pani Nau pobiéra dziś jeszcze, przez konzula Stanów Zjednoczonych w Paryżu.

Do największych okropności terroryzmu francuzkiego należy znana formuła denuncyjacyjna: *suspect e d'etre suspect* (o podejrzenie podejrzany).

Ograniczonego rozumu panicz wyczytawszy z afisza, że *scena odprawi się na wsi u Dobruckiego*, zawołał cały oburzony: »No proszę, dla lada teatru każą jeszcze *na wieś* jechać, a to do wcale nieznanego mi pana, do jakiegoś *Dobruckiego*; to mi impertynencyja!« (K. W.)

Słynny jeograf Henryk Berghaus wyrachował, że jeśli w rzece Elbie ubywać będzie wody jeszcze przez lat 24 w takim stosunku, w jakim jéj już od 50 lat ubywa, to rzéka ta nie będzie mogła nadal służyć do żeglugi. *(Echo du monde savant.)*

W Anglii wynaleziono oszczędny sposób zastąpienia kobierców pokojowych, i nadania obiciom piękności i trwałości. I tak papiér, suto pomalowany w kwiaty, arabeski i t. p., albotéż w liście złote lub srebrne, napinają w ramach i powlekają go kilkakrotnie gumą elastyczną rozpuszczoną. Tym sposobem nabiera on nader świetnego połysku, daje się przez mycie wodą czyścić bez uszkodzenia, a w piękności i trwałości zastępuje najwyszukańsze kobierce. *(Echo d. m. s.)*

Olej skalny zachowuje zboże od zepsucia. Pismo czasowe *Repertorio d'agricoltura* wystawia wypadki, otrzymane od kilku lat w Piemoncie z użycia oleju skalnego *(petroleum)* do uchowania zboża w spichrzach od zepsucia, a zarazem i ziarna w ziemi od uszkodzenia przez myszy, owady i ptaki. Zboże na wysiew przeznaczone, napawa się nieco tym olejem, który tak mocny wydaje odor, że nie tylko myszy, owady, ale nawet i ptaki nie trzymają się roli, tym sposobem świéżo obsianéj. (Do korca zboża na wysiew przeznaczonego, trzeba użyć blizko dwa funty tego oleju.)

Śmiertelność pomiędzy dziećmi. Z 1000 dzieci, karmionych przez matki, w ciągu karmienia umiera najwięcej 300; lecz z takiéjże ilości karmionych przez mamki dzieci, przynajmniej połowa zchodzi z tego świata. Jestto napomnienie dla rodziców, którym owoce ich małżeńskiéj miłości są święte!

Dzieła sztuki w Watykanie. Czytamy w *Diario di Roma*, że Watykan nowe skarby otrzymał; te zaś, które dotychczas zawiérał, wystawione są w nowym porządku, co przepysznemu zbiorowi temu więcéj jeszcze wartości nadaje. Dotąd nieznane, do tak zwanych raphaelowskich pokoi przypiérające sale, przekształcone zostały w jednę wielką salę, gdzie widzieć można arcydzieła najznakomitszych artystów. Tym sposobem wypróżniona galeryja nadarza wygodne miejsce do wywieszenia kobierców Raphaela. Wiadomo, że sławne kobierce te *(arazzi)* w Arras i w miastach flandryjskich według kartonow Raphaela robione były. Włochy nie mają teraz tego drogiego zbioru kartonów, zamówionego przez papieża Leona X. Siedm z nich jest w Anglii, a reszta po różnych miejscach. Po pokojach *(loggiach)* Raphaela, następują w Watykanie przez tego wielkiego mistrza malowane gmachy, do których duża sala przypiéra, co łącząc się z jednéj strony z kurytarzem kandelabrów, z drugiéj zaś z galeryją map, ma tym sposobem związek z muzeum. Przez to nowe uporządkowanie, miłośnik sztuk pięknych ma umieszczone w jednym szeregu przedmioty podziwu, mianowicie dzieł Raphaela, głównej ozdoby Watykanu. Ojciec święty ma zamiar założyć także muzeum etruskie, i złożyć w niem tak skarby artystyczne, jakotéż najcelniejsze pomniki, dochowane ze starożytnéj Etruryi. Najznakomitsi artyści i przyjaciele sztuk pięknych zajmują się tą pracą, jakoto: Thorwaldsen, kawaler Visconti i baron Camuccini.

Kradzież na wielką stopę. Wydane nie dawno we Francyi dzieło, które pod tytułem: *Słownik łotrów*, daje przestrogi względem różnych rodzajów kradzieży, i takowe w zabawny sposób po kolei przytacza, w artykule pod napisem: *Grinchisseurs aux des lourdes*, opowiada następujące szczególne oszukaństwo: »Przed kilką laty przyjeżdża pewien jegomość do Hamburga, a w oberzy, w któréj stanął, sługa jego o niczém nic mówi, jak tylko o milijonach swojego pana, i że ten żenić się zamyśla, któryto związek małżeński majątek tego już bardzo bogatego człowieka, znacznie jeszcze powiększy. Postępowanie pana zgadza się z opowiadaniem sługi, płaci hojnie i tak rozrzuca pieniądze, że zdaje się prawie, jak gdyby te żadnéj u niego nie miały wartości. Obcy pozyskawszy tym sposobem dobre o sobie mniemanie, każe wołać gospodarza i powiada mu, że chciałby brylanty dla swojéj narzeczonéj kupić; nie znając zaś nikogo w Hamburgu, prosi go, by mu wymienił jubilera, mającego najpiękniejsze klejnoty, a który byłby przytém najpoczciwszym. Oberzysta uradowany tym dowodem zaufania, wypełniając życzenie swojego gościa, wymienia mu jubilera, Abrahama Levy. Oszust idzie do niego i zamawia brylanty w wartości 150,000 fr. W dniu, w którym jubiler żądane brylanty przyniósł, ów obcy jegomość, mieniąc się być słabym cokolwiek, przyjmuje w szlafroku jubilera. Przypatrzywszy się dokładnie brylantom, chowa je w swój sekretarzyk, zamyka go, lecz klucz w zamku zostawia; dzwoni potém na służącego, by mu podał kluczyk od szkatuły z pieniędzmi, która także w sekretarzyku znajdować się miała. Służący nie przychodzi, pan zaczyna być niecierpliwym i dzwoni po raz drugi. Gdy służącego jeszcze widać nie było, rozgniewany pan, sam po kluczyk spieszy. Mija kwadrans, pan nie powraca. »Nie przychodzi,« rzecze jubiler do swojego komisanta, który mu do oberzy towarzyszył, »to mnie niepokoić zaczyna.« — »Należałoby się lękać,« odrzekł komisant, »gdyby był wziął z sobą brylanty, ale gdy te są schowane w sekretarzyku, możemy przeto być zupełnie spokojni. Czekajmy, zapewne go coś zaszło, gdy służącego wołać wyszedł.« — »Wćpana uwaga jest słuszna,« rzecze Abraham Levy, »nic potrzebnie się trwożę; wszelako,« dodał patrząc na zegarek, »już 35 minut upłynęło, jak odszedł; ta długa nieobecność jego jest niepojętą; czy nie potrzebaby go zawołać?« Komisant tego samego był zdania i obaj zaczynają wołać: »Panie dobrodzieju, panie dobrodzieju!« lecz nic otrzymują żadnéj odpowiedzi. »Zostawił kluczyk w sekretarzyku,« odzywa się znowu jubiler, »może otworzymy go?« — »Uchowaj Boże! co wćpan chcesz robić, gdyby nadszedł, a zastał nas plondrujących po jego sekretarzyku, mógłby o nas złe powziąć mniemanie.« Jubiler czeka jeszcze, nareszcie zaczyna mu to być za długo, a przeczekawszy trzy kwadranse, dzwoni; posługacze oberzy zbiegają się, szukają obcego jegomości, ale go nigdzie nie znalazłszy, nareszcie otwiérają sekretarzyk. Można sobie wyobrazić przerażenie biednego Abrahama Levy, gdy w środku sekretarzyka i w murze, do którego tenże przypiérał, ujrzał dziurę, i przekonał się, że ona, będąc w związku z głowami, stojącego w drugim pokoju łóżka, ułatwiła skradzenie brylantów. Puszczono się w pogoń za złodziejami, którzy tylnémi drzwiami uciekli, lecz nie schwytano nikogo, bo złodzieje daleko już były za Hamburgiem nim Abraham Levy pomiarkował, że go okradziono.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*